

# Wrzesień 1939 widziany dziewczęcymi oczami

**O**STATNIE dni wakacji spędzałam w pensjonacie w Rabce. Telefon ojca z kategorycznym poleceniem natychmiastowego wyjazdu z Rabki do Krakowa, gdzie miał mnie oczekiwać był niepokojący. Rzeczywiście, spotkał się na dworcu w Krakowie i wtedy dowiedziałam się, że nie wracam do domu, do Katowic, tylko razem z babcią i trzyletnią siostrzyczką Basią jedziemy do Lublina. W Lublinie oczekiwała nas siostra mojej babci, która wraz z mężem wynajmowała jednopiętrowy drewniany domek w dzielnicy Dziesiąta, przy ulicy Wyspiańskiego 5.

Przyjazd do Lublina był dla mnie wielkim szokiem. Miasta zachodniej Polski dotychczas mi znane zasadniczo różniły się od polskiej „B”, którą reprezentował Lublin. Opuściliśmy dworzec. Pod nogami potworne „kocie lby”, a dokoła tłum Żydów małych i dużych w czarnych chałatach, czarnych jarmulkach, czarnych kapeluszach, z pejsami, z czarnymi i białymi brodami. Jazgot niesamowity. Dorożka. Ładujemy się i przy akompaniamencie kopyt końskich kłapiących o bruk zmierzamy do celu. Dorożka podskakuje gwałtownie po kocich łbach ulicy Bychawskiej. Skręcamy w boczną ulicę, Polna droga. To tu. Płot z drewnianych sztachet otacza ogród, sad i dom.

Dziadków Majewskich wcześniej nie znalazłam. Ciężka babcia Pola zajmuje z mężem i córką — jeszcze uczennicą Barbarą cały parter — trzy pokoje i kuchnię. Pokój z małą kuchenką na piętariku odstępują nam. W pokoju stoi żelazne połowe łóżko. Drzwi w sąsiedztwie kuchenki prowadzą na dość duży strych. Z okna strychu widać wieś Dziesiąta. Na podwórku komórki na węgiel, drzewo, narzędzia ogrodnicze i podręczny warsztat oraz zagroda na śmietnik i domek z serduszkami. Do komórek przylega psia buda, a w niej duży, kosmaty, biały owczarek Kuba. Na podwórzu pompa. Pełna niepokoju, nieświadoma przyszłości badam otoczenie.

Następnego dnia przyjechał starszy brat Jurek. Pyta mnie: — „Czy masz jakieś pieniądze? — A ty? Bo widzisz, ja chcę wracać do Katowic, do rodziców. Przecież mogę być użyteczny”. — „Ja też tylko o tym myślę. Przecież jestem harcerką”. Ja tu nie wytrzymam”. Okazało się, że oboje mieliśmy tylko po dwa dziesiątki złotych. To było na szczęście za mało. Babcia zabrała mnie do Lublina. Autobusy miejskie jeszcze kursowały. Poszliśmy do Syndykatu.



Dom przy ul. Wyspiańskiego 5 w dzielnicy Dziesiąta w Lublinie, gdzie mieszkał Litwiniukowie. Zdjęcie z lat czterdziestych. Tu na parterze mieściła się tajna radiostacja Komendy Okręgu AK.

Syndykat mieścił się na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Szopena, tu gdzie obecnie mieści się księgarnia. Sklepek zajmował również pierwsze piętro. Można tam było kupić wszystko i to z dostawą do domu. Babcia kupiła sprzęt potrzebny w gospodarstwie, podstawowe produkty spożywcze i co najważniejsze: zamówiła węgiel. Część zakupów zabrałyśmy ze sobą i wróciłyśmy dorożką.

Siedziałam z Jurkiem na balkonie i tam babcia podała nam podwieczorek i nagle — bez wypowiedzi, bez alarmu usłyszeliśmy szum samolotu i huknęło. Pierwsze bomby spadły w okolice Abramowic. Tam wojsko zlokalizowało park samochodowy. Słuchamy radia: — Niemcy zaatakowali bez wypowiedzenia wojny. Gdańsk, Westerplatte w ogniu walki. — „Jesteśmy dzielni, nie damy się. Anglia i Francja przyjdą z szybką pomocą. Mamy szansę”. Poczujemy się jak możemy. A serce w piersiach zamiera. Gdzie są rodzice? Co postanowią?

W nocy obudziło nas pukanie do drzwi. Przyjechał ojciec. „Gdzie mama? — Pojechała drugim wozem”. Rano mama znalazła się. Jechała ze znajomymi i wraz z nimi przenocowała w Lublinie w banku.

Chwała Bogu. Jesteśmy wszyscy razem. Mama nie chciała wyjechać z Katowic. Uważała, że jako lekarz może być bardzo potrzebna w tamtejszym szpitalu, ale ojciec był poważnie zagrożony. Był dyrektorem Banku Związku Spółek Zarobkowych i był aktywnym działaczem Polskiego Związku Zachodniego i jako taki naraził się Niemcom. (W książce „Polski Wrzesień” wyd. MON publikującej między innymi dokumenty gestapo z terenu Śląska nazwisko ojca — „Jan Litwiniuk” jest wymienione na początku „Księgi gorzej”). Był to spis osób przewidzianych do likwidacji, a sporządzony przez agentów gestapo jeszcze przed wybuchem wojny.

Ojciec wypłacił pracownikom banku trzymiesięczną odprawę, załadował do samochodu kasę bankową, matka dołożyła trochę środków z przetworami i wyruszyli do Lublina. Po drodze, nie wiem w jakiej okolicy, zaskoczyło ich bombardowanie. Opuścili samochód i ukryli się w oddaleniu od drogi. I dobrze. Samochód został trafiony. Kasa rozsypała się, a konfitury rozlały czerwona, mokra plama. Ojciec i matka znaleźli miejsca w dwóch autach jadących w tym samym kierunku i szczęśliwie dotarli na miejsce.

Dom zaczął się zagęszczać. Gospodarze — dziadkowie Majewscy — przyjęli pod opiekę synową Izę Majewską z córeczką urodzoną w dniu wybuchu wojny. Jej mąż Ryszard, starszy syn dziadków, wojskowy związany z lotnictwem miał z kolegami wylecieć samolotem — chyba do Anglii.

Niemcy zajmują coraz dalsze tereny. Nasz opór słabnie. Anglia z Francją nie robią, żeby nam pomóc. Dochodzi do nas



# Wrzesień 1939 widziany dziewczęcymi oczami

wezwanie, żeby zgłosić się do kopania rowów przeciwbombowych. Bierzeni łopaty i zgłaszamy się na placu przed kościołem przy ulicy Bychawskiej. Ktoś fachowo wytycza żyzżak. Kopyemy. Ojciec natychmiast po przyjeździe zgłosił się do RKU. Nikt nie wie, Chaos. Mężczyźni mają opuścić Lublin i iść w kierunku Chełma. Ojciec powędrował z plecakiem i wieczorem wrócił. Doszedł do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu. Nikt się nimi nie interesował.

Zalamała nas wiadomość o ucieczce rządu i sztabu przez Zaleszczyki do Rumunii. Znów w nocy bombardowanie. Słyszymy niesamowity krzyk ludzi i ryki bydła. Co się stało? Przez okno strychu widzimy ogromną lunę. Niemcy obsypali bombami zapalającymi wieś Dziesiątą. Cała wieś stanęła w ogniu. Ilu ludzi zginęło w płomieniach broniąc dobytek, ile zwierząt spłonęło nie wiadomo. To trwało przez całą noc, a resztki żarzyły się i tliły jeszcze przez wiele godzin.

Co noc alarmy i przejmujący ryk nadlatujących bombowców. Nasza chałupka nie forteca. Wykopaliliśmy w ogrodzie dół jak najdalej od budynku. Mieliśmy przykryć go deskami. Nie zdążyliśmy. W nocy alarm. Ryk bombowców i przeraźliwy świst nad głowami. Kulimy się w nie wykończonym schronie i nagle gruchnęło. Przysypało nas gruzem. Poczułam silne uderzenie w plecy. Jeszcze chwila grozy, która zawsze towarzyszyła odgłosowi ciężkich bombowców. Odwołanie alarmu. Wychodzimy z rowu, otrzępujemy się z gruzów i pyłu. Spadły trzy bomby, a my w środku tego trójkąta. Po przeciwnej stronie ulicy połowa domu zburzona, jak odcięta. Z niego posypały się na nas gruzy. To dom państwa Lewandowskich. Mama ogląda moje plecy. Na lepatce wyskoczył mi duży, ciemny siniak. Widocznie oberwałam jakimś większym kawałkiem cegły.

A już nie wiem, ile dni to trwało i co wcześniej, co później. Obecnie z tych zdarzeń robi się w pamięci jedna zbitka. Niemcy już w Lublinie. Dom pełen ludzi bez przyszłości. I co dalej? Co robić? Jak żyć? Co jeść? Do śródmieścia pięć kilometrów. Brak komunikacji miejskiej.

Mama zgłosiła się do pracy w szpitalu Czerwonego Krzyża zorganizowanym dla rannych żołnierzy w budynku Gimnazjum Unii Lubelskiej — naprzeciwko Urszulanek. Szefem tego szpitala był znany chirurg doktor Tomasz Kołuchowski. Poza nim pamiętam z tego zespołu kilku innych lekarzy: dr Eysmontt — rozstrzelany na Rurach. Tam w wąwozie na pomniku figuruje jego nazwisko. Dalej dr Marian Kryński, dr Leszek Zgliczyński, dr Lesisz i wielu innych.

A co my? Co ze szkołą? Nauczyciele nie próżnowali. Rok szkolny wprawdzie z opóźnieniem, ale rozpoczął się. Ja do drugiej klasy gimnazjum im. Unii Lubelskiej, Jurek chyba do Vettera do klasy czwartej. Książki oczywiście używane. Zeszyty można było kupić. Gimnazjum Unii Lubelskiej oddało swój lokal szpitalowi. Teraz zostało gościnnie przyjęte przez urszulanki, na drugą zmianę.

Wychodzimy z domu godzinę przed rozpoczęciem lekcji. Tyle akurat czasu trzeba na przejście pięciu kilometrów dzielących nas od szkoły. Wracamy wieczorem, całym stadem. Tak różnie i bezpiecznie. Dźwigamy ciężkie teczki, czapiemy przemoczonymi butami przez kałuże, idziemy w narastającej ciemności. Okna domów ślepe, ulice nie oświetlone. Zaciemnienie obowiązuje...

Odwiedzaliśmy w szpitalu rannych żołnierzy wręczając drobne upominki, najczęściej papierosy. Po miesiącu nauki przyszła do naszej klasy pani Mally. Była bardzo przygnębiona. Twarz miała szarą. Stało się coś strasznego. Powiedziała: „Dziewczynki, pańkujcie swoje teczki i wracajcie do domu. Ze szkoły wychodźcie pojedynczo, najwyżej po dwie. Nigdzie się nie zatrzymujcie. Nie idźcie gromadą. Niemcy zamknęli szkoły. Koniec nauki. Co będzie? Nie wiemy. A wy, jeżeli będziecie mogły, to uczcie się dalej same. Nie rezygnujcie. Zegnajcie i bądźcie ostrożne”.

To była najdłuższa droga w moim życiu. Szłam sama z opuszczoną głową. Nie widziałam wystaw sklepowych ani mijających mnie ludzi. Widziałam tylko płyty chodnikowe pod moimi stopami. Teczka ciążyła mi potwornie. W głowie zamęt. A ja człap, człap, ulicą Bernardyńską, Zamojską... Lublina jeszcze nie znałam, tylko drogę wiodącą ze szkoły do domu i nie wiem jak to się stało, że przy „klinie” skręciłam na lewo i dalej człap, człap z nosem utkwionym w płyty chodnika. Po chwili zorientowałam się, że przeszedłam tory kolejowe. Ocknelam się. A gdzie tunel? Gdzie ja jestem? Za przejazdem ogrodzony teren, a za drutami? Nasi żołnierze rozbrojeni, przygnębieni, chodzą, siedzą na ziemi. Mają opuszczone głowy, albo rozglądają się niespokojnie. Pilnują ich Niemcy w mundurach wojskowych. Chryzotorniałam zupełnie. Zawróciłam. Dotarłam do miejsca, w którym popełniłam błąd. Przyspieszyłam kroku i skierowałam się we właściwym kierunku, Tunel. Bychawska, Wyspiańskie-go i dcm. Wprawdzie rozpaczyliwie prymitywny i biedny w porównaniu z tak niedaleką przeszłością, ale dach nad głową i rodzina w komplecie. To jest „Dom” przez duże „D”. Miałam za sobą straszny dzień. Po nim miały nastąpić nie mniej przerażające.

Babcia Emilia Dąbrowska otrzymała depeszę: „Mamo, jestem w czołwie w Starobielsku. Nie wiem co dalej. Ucałowania, Zbyszczef”. (Nazwisko najmłodszego brata mojej matki podporucznika Zbigniewa Dąbrowskiego figuruje na liście ofiar Katynia).

W domu było radio. Nadawała dla Polaków radiostacja polska w Paryżu. Słuchaliśmy codziennie gromadnie i pocieszaliśmy się jak tylko to było możliwe. Zyliliśmy resztkami zapasów kupionych w Syndykacie. Dziadek miał w ogrodzie piękne pomidory. Ale to nie na długo.

Niemcy rozrościli się w Lublinie na dobre. Robili porządek. Na murach, płotach i gdzie się dało pojawiały się ogłoszenia: „Natychmiast zdać wszystkie odbiorniki radiowe. Niezastosowanie się do rozkazu będzie karane śmiercią”. Jutro mieliśmy rozstać się z naszym jedynym łącznikiem ze światem. Dziś jeszcze słuchaliśmy — ostatni raz. Już nie pamiętam jakie były wiadomości, ale na pewno złe. Chyba nawet radiostacja w Paryżu kończyła swoją działalność. Na zakończenie programu poważne: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Gardło ścisnięte, z oczu leją się łzy. Spojrzałam na resztkę rodziny. Wszyscy mieli mokre twarze. To chyba był moment, w którym poczuliśmy się bezsilni, opuszczeni i niepewni jutra. Byliśmy zawieszani w próżni.